

Upadnij na kolana

Wanda Póltawska

Mała byłam, jeszcze nie chodziłam do szkoły, gdy zachorował nasz dozorca, stary pan Michał. Groźny był, wielki, z dużymi rudymi wąsami, Dzieci z przedszkola bały się go - ja nie. Michał był moim przyjacielem i strasznie mi się podobało jak żelaznym drągiem wybijał lód z rynsztoka. Lód pryskał na wszystkie strony. Raz chciałam, żeby mi pozwolił też tak robić; roześmiał się, podał ten drąg, którego w ogóle nie mogłam ruszyć. Był taki mocny zawsze, wydawał mi się uosobieniem mocy, a teraz leżał w łóżku i nie mógł wstać. Zima to była czy może przedwiośnie, bo śnieg leżał pomieszany z błotem, taka mazia.

Dzieci z podwórka wiedziały, że stary Michał umiera i dlatego przyjdzie do niego Pan Jezus. Trochę się dziwiłam, dlaczego dopiero teraz, jak już nie może wstać, a nie wcześniej. Ale wszystkie czekałyśmy przy furtce od ulicy. Zza rogu, a właściwie zza zakrętu, odezwał się dzwonek; chłopiec, taki niewiele większy ode mnie, w białej komeżce dzwonił dzwonkiem, a wszyscy od razu się obejrzeni - za nim szedł ksiądz. **Zbyszek, duży chłopak z podwórka, powiedział: "Niesie Pana Jezusa" - nie było widać gdzie niesie, ale wszyscy od razu uklękli.**

Jakiś pan w szubie, jakaś pani w futerku i pan w czerwonej czapeczce, co przynosił listy do mojej starszej siostry. I chłop zszedł z wozu, **zatrzymał konie i ukląkł. Wszyscy bez namysłu w błoto i roztapiający się śnieg. Ja - też, wszystkie dzieci z podwórka - też.** Przez moment błysnęła mi myśl: "mam białe getry, co na to powie mama!?" Ale mama właśnie wyszła na próg i też uklękła.

Ksiądz poprzedzony chłopczykiem wszedł z sieni na prawo, do izdebki, gdzie mieszkał stary Michał.

A potem jeszcze pamiętam samą trumnę. Wnosili ją bokiem, bo nie chciał się zmieścić, na cmentarz mnie nie wzięli.

Tyle lat temu, a ja co dzień wspominam tę scenę. **Ludzi klęczących, bo przechodzi Pan Jezus.** Wspominam to podczas każdej Mszy św., gdy widzę, jak ministranci rozparci siedzą na ławkach, koło ołtarza, a ksiądz koło nich rozdaje Komunię św. Widzę to, gdy na Mszy św., podczas podniesienia ludzie stoją - klęczy parę starych kobiet. I widzę to w kaplicy papieskiej, gdy wszyscy siedzą, a klęczy jeden człowiek w białej sutannie i z białymi włosami, Jan Paweł II. Gdy go w Krakowie nie można było znaleźć w kurii, wystarczyło pójść parę ulic dalej, gdzie siostry mają wieczną adorację. Klęczał tam godzinami.

Dla Boga - jeśli się choć trochę pojmuje kim On jest - człowiek od wieków szukał sposobu wyrażenia czci, tego umoru Dei, jaki stworzenie winno okazać Stwórcy; starał się znaleźć gest szczególny, specjalny, jedynie dla Boga przeznaczony; **ludzie klękali, wznosili ręce do nieba. Gest ten nie jest ofiarowywany nikomu z ludzi. Owszem, jeszcze Jego zastępcy - przed Piotrem na Stolicy Apostolskiej klękali ludzie. Kiedyś - dziś nawet tam nie. Dlaczego?** Zmalał Bóg w ludzkich oczach, sprowadzony do naszego nędznego wymiaru - pojęcie sacrum (tego, co święte) zanika.

Jest, jest paru szaleńców Bożych, chodzących po tym świecie XX wieku, usiłujących zaszczerpić na nowo kult dla Białego Krążka w złocistej monstrancji. Chodzą od parafii do parafii i namawiają na wieczystą adorację. I mówią rzeczy graniczące z cudem, że od czasu, jak w tej parafii całą dobę adoruje się Przenajświętszy Sakrament, jak ludzie kolejno klęczą przed Sanctissimum, to maleje ilość przestępstw, to zmienia się klimat w parafii.

A inni? Niektórzy wzruszają ramionami: ach, to tylko symbol; inni oglądają się dookoła; wszyscy stoją, jakże się tu wychylać, sam jeden?

Pierwszy raz widziałam człowieka stojącego podczas podniesienia w kościele w Lublinie na samym początku okupacji: SS-man w mundurze (a jakże katolik - na pasie miał wybite przecież Gott mit uns). Stał sztywno na rozkraczonych nogach, a cały kościół klęczał. Potem, po wojnie umarł nasz kolega - przez wszystkich ceniony; na pogrzebowej Mszy św. koledzy po fachu, panowie doktorzy partyjni stali sztywno. Lojalnie przyszedli na Mszę św., ale nie mogli się narazić klękaniem. I było to jak znak - **wierzący wiedzą, co się dzieje, padają na kolana. Niewierzący grzecznie stoją, jak na uroczystości ludzkiej, nie rozumiejąc nic więcej.**

A teraz? W kaplicy u sióstr podczas Mszy św. wszystkie stoją, nie, nie wszystkie: dwie staruszki klęczą i ja - pytam przełożoną, co to jest, czy one nie rozumieją? Czy wszystkie są chore? Przełożona trochę speszona mówi: **"z Zachodu przyszło, kapituła przegłosowała zmiany stroju i zamiany obyczaju".**

Magiczne słowa, jak zaklęcie: **"z Zachodu". Zalewa nas fala brudnej wody z Zachodu, przywożą do nas śmiecie, a w Polsce wszystko się bierze, bo... bo po prostu jest snobizm.**

Młodzi, zdrowi - dlaczego nie klękną? Bo niemodne? Nie, to by nie wystarczyło, to jest głębszy znak - **"upadnij na kolana ludu, czią przejęty".** No właśnie, trzeba być czią przejętym, żeby paść na kolana. Trzeba wiedzieć przed Kim i dlaczego.

Wstać można na znak szacunku. Wstają studenci, gdy wchodzi profesor, stoją ludzie na baczość, gdy grają hymn państwowy. Ale jest to, zwłaszcza dziś, gest wieloznaczny. Stoi się, stało się godzinami w kolejce pod sklepem (niekiedy pod sklepem monopolowym kolejka była dłuższa niż za chlebem), stoi się w przepełnionym tramwaju, stoi się na przystanku. Już samo wstanie nie jest jednoznaczne i **jest to gest na użytek ludzi.**

Snobizm na Zachód - na "nowoczesność"!

"Wszystko jedno, jak się modłę" - ktoś mi powiedział; może, ale jak dzieciom odróżnić wagę tego, co dzieje się podczas Mszy św.? Dawniej na Ewangelię wierni stali ze skupieniem, słuchając słów natchnionych, **ale gdy Bóg sam schodził na ziemię - padali na kolana; dziecko widziało: jest Bóg - tu i teraz - hic et nunc!**

Tak jak my, dzieci z podwórka wiedziałyśmy na pewno, że przychodzi Ktoś najważniejszy - **sam Pan Jezus, bo wszyscy dorośli padli na kolana.**

Co wiedzą dziś dzieci? Czego się uczą, patrząc na dorosłych? Nawet tych niby wierzących, nawet w kościele - w którym dziś niekiedy nie można odnaleźć tabernakulum wyrzuconego z głównego ołtarza gdzieś do kąta. Gdzie Bóg sam, z niepojętą cierpliwością czeka na człowieka...

Życiorys dr Wandy Półtawskiej

(Na podstawie strony internetowej KUL-u)

Wanda Półtawska, Wanda Wojtasik, dla znajomych Dusia, od chwili małżeństwa Półtawska, urodziła się w Lublinie dnia 2 listopada 1921 roku jako najmłodsza z trzech siostr. Jej Matka była osobą całkowicie oddaną rodzinie, najpierw córkom i mężowi, potem, gdy urodziły się nasze córki, wnukom. Jako najmłodsza, była rozpieszczana, ojciec brał ją na długie spacery po pięknych okolicach Lublina.

Chodziła do znakomitej szkoły SS. Urszulanek. W chwili wybuchu wojny była uczennicą drugiej klasy liceum. W szkole panowała atmosfera przyjaźni z uczennicami, nastawienie wychowawców było bardzo nowoczesne, np. już wtedy uczennice zdobywały prawo jazdy, jeżdżąc zakupionym przez szkołę samochodem. Swoich nauczycieli wspomina ze czcią i podziwem, a ze swoją ówczesną wychowawczynią i dyrektorką Matką Bożeną Szerwentke, współpracowała potem i przyjaźniła się po wojnie, aż do jej śmierci. Była pierwszą uczennicą w klasie, przy czym wcześniej i od pierwszej klasy z zapałem zaangażowała się w harcerstwo. W wieku lat 15, na obozie harcerskim, została drużynową, gdyż była najmłodszą wiekiem, ale najstarszą stopniem uczestniczką.

Z chwilą wybuchu wojny natychmiast z grupą harcerzek zajęła się służbą pomocniczą, przede wszystkim jednak rzuciła się do ratowania książek ze zbombardowanej księgarni. Z nastaniem okupacji przystąpiła od razu do konspiracyjnej walki jako łączniczka, uczestnicząc jednocześnie w tajnym nauczaniu. Pewne epizody ze swoich czasów szkolnych i konspiracji, a także ze swych doświadczeń w poradnictwie, opisała w opowiadaniach *Stare rachunki* i *Z prądem i pod prąd*.

W lutym 1941 została aresztowana przez Gestapo i osadzona w więzieniu na Zamku Lubelskim, a 22 września przewieziona do obozu koncentracyjnego Ravensbrück w Meklemburgii, a w marcu 1945 do Neustadt-Gleve, gdzie przebywała do końca wojny, tj. do 8 maja 1945r.; cudem uratowana, gdyż z powodu wyczerpania głodem wyrzucono ją już do trupiarni.

W obozie została zoperowana doświadczalnie przez niemieckich lekarzy w pierwszej grupie ravenbrückich "królików". Duża grupa polskich więźniarek politycznych była świetnie zorganizowana, szereg doskonałych nauczycieli prowadziło tajne nauczanie, a informacje o operacjach Wanda przysyłała do domu, pisząc atramentem sympatycznym (oczywiście w braku innego moczem).

Po powrocie do domu co noc śnił się jej obóz, tak że spanie stało się męczarnią. Jedna z nauczycielek poradziła jej spisanie swoich wspomnień. Uczyniła to – i pomogło; a po dwudziestu latach tekst ten wydany został najpierw w Polsce, a potem przetłumaczony na języki: japoński, angielski, niemiecki i włoski (I boję się snów).

Rzucona z otaczającego ją świata miłości i przyjaźni w atmosferę okrucieństwa gestapowskiego więzienia i hitlerowskiego kacetu nie poczuła nienawiści, tylko ogromne zdziwienie: jak jest możliwe, aby człowiek człowiekowi mógł zadawać takie cierpienia? Postanowiła więc zostać psychiatrą, aby spróbować to zrozumieć i móc ludziom pomagać. Zresztą duża część jej koleżanek obozowych studiowała potem medycynę. Nie mogąc znieść spotkań z rodzinami zabitych koleżanek – którym musiało nasuwać się pytanie: czemu ona wróciła, a tamte zginęły? – rozpoczęła studia medyczne nie w Lublinie, a na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie (we wrześniu 1945); ukończyła je w roku 1951.

Pobraliśmy się 31 grudnia 1947, a nasze córki urodziły się kolejno w latach: 1951 (Kasia), 1954 (Ania) i 1958 (bliźniaczki Basia i Marysia). Mamy ośmioro wnuków.

Pracę lekarza rozpoczęła w szpitalu psychiatrycznym w Kobierzynie koło Krakowa w lutym 1952, a już w kwietniu, otrzymawszy stypendium specjalizacyjne w psychiatrii przeniosła się do Kliniki Psychiatrycznej Akademii Medycznej w Krakowie, wydzielonej wówczas z Uniwersytetu Jagiellońskiego jako osobna uczelnia, gdzie pozostała do roku 1968, przechodząc kolejne stopnie asystenta, starszego asystenta i adiunkta, ordynatora oddziału, równoległe zaś oba stopnie specjalizacji i doktorat (1964).

Przez 18 lat (1954-1972) działała w Poradni Wychowawczo-Leczniczej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prowadziła badania tzw. "dzieci oświęcimskich" - ludzi, którzy jako dzieci trafili do obozów koncentracyjnych. Opracowała też metodę "psychoterapii obiektywizującej", opartą na uświadamianiu nieprzystosowanej młodzieży jej miejsca w rodzinie i społeczeństwie. Zajmowała się też, w oparciu o swe doświadczenia w poradnictwie, wpływem przerywania ciąży na psychikę kobiety oraz wpływem postawy antykoncepcyjnej na współżycie małżeńskie i rodzinne.

Powstały w czasie przymusowych ciężkich prac w obozie uraz kręgosłupa szyjnego wymagał operacji i zaprowadził ją w roku 1967 aż do Honolulu, gdzie praktykował specjalista przeprowadzający tego rodzaju operacje specjalną metodą od przodu.

W kwietniu 1969 zwolniła się z Kliniki, aby poświęcić się przede wszystkim poradnictwu małżeńskiemu i rodzinnemu.

Przez 42 lata (1955-1997) wykładała medycynę pastoralną na Wydziale Teologicznym, a potem na Akademii Papieskiej w Krakowie. W latach 1981-84 wykładała też medycynę pastoralną w Instytucie Jana Pawła II przy Uniwersytecie Laterańskim w Rzymie.

W roku 1967 zorganizowała Instytut Teologii Rodziny przy tymże Wydziale i kierowała nim przez 33 lata, szkoląc młode małżeństwa i narzeczonych (dwuletnie studium z comiesięcznymi sesjami) oraz księży. W ten sposób rozpoczęła się jej niejako oficjalna działalność na terenie, który jest odtąd jej podstawową pasją: pomoc w realizacji tego, co Karol Wojtyła - Jan Paweł II uznał za najważniejsze zadanie współczesne: uzdrowienie, uczynienie szczęśliwą i świętą ludzką rodzinę. Pracuje na tym polu niestrudzenie, tak w Polsce, jak na płaszczyźnie międzynarodowej. Napisała w związku z tym szereg prac o przygotowaniu do małżeństwa i o właściwej postawie wobec współżycia płciowego.

Drugim terenem jej wysiłków jest zorganizowanie i uaktywnienie lekarzy w służbie życia i rodziny. Zdaje sobie bowiem sprawę z tego, jak wielki wpływ wywierają często lekarze na los ludzi w ogóle, a rodzin w szczególności. Ostatnie trzy lata prowadzi, jeżdżąc po całej Polsce, wykłady z zakresu życia rodzinnego dla nauczycieli, mających uczyć tego przedmiotu, poświęcając na to prawie wszystkie weekendy. W roku 1994 została mianowana członkiem Papieskiej Akademii Życia. Współpracuje też z Papieską Radą dla Pracowników Służby Zdrowia. Po stworzeniu Papieskiej Rady Rodziny w roku 1983 zostaliśmy oboje jej członkami i jesteśmy nimi do dziś.

Przez 10 lat była radną miasta Krakowa i w 1964 roku została odznaczona Złotą Odznaką "Za pracę społeczną dla miasta Krakowa", w 1981 - medalem "Pro Ecclesia et Pontifice", a w roku 1999 Medalem Polskiego Senatu, Medalem św. Jadwigi Akademii Papieskiej w Krakowie i Komandorią papieskiego Orderu św. Grzegorza.

Otrzymała też w roku 1987 honorowy doktorat Notre Dame Pontifical Catechetical Institute w Arlington, Virginia.

Zawsze była gotowa pomagać ludziom, przede wszystkim małżeństwom w kryzysie i, naturalnie, jako psychiatra, osobom mającym kłopoty ze swoją psychiką - i nigdy nie traktowała tego jako czegoś, za co wystawia się rachunki. Przebadala też bardzo wielu kandydatów, a zwłaszcza kandydatek, do życia konsekrowanego. Powiedzieć można, że stała się swego rodzaju instytucją.

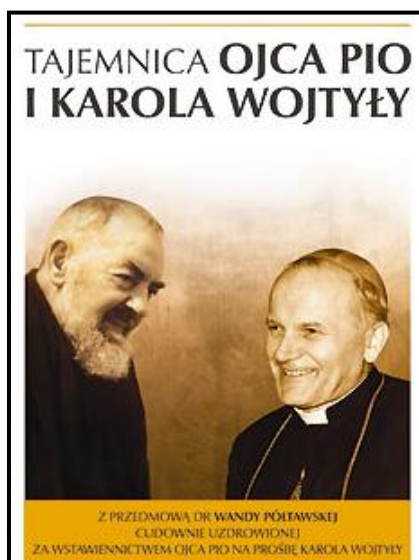
Jeśli chodzi o jej styl kontaktów z otoczeniem, to sędzę, że bardzo dobrze charakteryzuje go określenie, ukute przez grupę zaprzyjaźnionej młodzieży: ostrogadka dobrotkliwa. Lubi bowiem wyrażać się krótko i bez „owijania w bawełnę”, czyniąc to zawsze w kontekście i w intencji pomocy temu, z kim rozmawia.

Świętości nie da się ukryć

Z dr Wandą Póltawską – cudownie uzdrowioną za wstawiennictwem Ojca Pio na prośbę ks. Karola Wojtyły – rozmawia ks. Tomasz Lubaś SSP

Ks. Tomasz Lubaś SSP: – Które stwierdzenie jest prawdziwe: „Ojciec Pio był wielkim świętym” czy też: „Ojciec Pio jest wielkim świętym”?

Dr Wanda Póltawska: – Osobiście nie mam wątpliwości, że był i jest święty. Człowiek nie staje się święty przez fakt kanonizacji, ale zostaje przez Kościół kanonizowany, ponieważ był święty. Przecież sam proces kanonizacyjny uzasadnia świętość tego właśnie człowieka – świętości nie da się ukryć. Ludzie, którzy obcuja ze świętym, widzą jego świętość. Można powiedzieć, że świętość promieniuje z człowieka, a Ojciec Święty Jan Paweł II mawiał: „Święci rodzą świętych” – i dał mi przykład św. Franciszka.



– Kiedy po raz pierwszy usłyszała Pani Doktor o Ojcu Pio?

– O Ojcu Pio dowiedziałam się od bp. Karola Wojtyły w grudniu 1962 r. Gdy wrócił z sesji soborowej, spytałam go, kto to jest ten Ojciec Pio. Wtedy dowiedziałam się, że jest to włoski kapucyn, stygmatyk.

– Czy po cudownym uzdrowieniu za wstawiennictwem Ojca Pio w 1962 r., po Pani powrocie do domu, mąż i rodzina wiedzieli, dlaczego Pani tak naprawdę wyzdrowiała? Kiedy Pani Doktor uświadomiła sobie, że było to cudowne uzdrowienie i – jeśli można zapytać – co Pani wtedy czuła?

– W 1962 r., po wyjściu ze szpitala, byłam przede wszystkim zaskoczona, ale to nie jest temat, o którym chciałabym mówić – a w każdym razie nie w tak powierzchownym ujęciu. Wobec zjawisk, które przekraczają możliwość zrozumienia, można tylko pochylić głowę albo uklęknąć, a nie drążyć dziennikarskimi pytaniami.

– Pani Doktor mówiła czasem, że Ojciec Pio jest Pani prywatnym świętym. W czym się to objawia?

– Właśnie, nie tylko tak mówię, ale również tak myślę. Co to znaczy? Żeby zrozumieć, co to znaczy, trzeba być człowiekiem wierzącym – wierzyć w „świętych obcowanie”. Taki akt wiary daje własny kontakt z niebem, z jakimś szczególnym, wybranym świętym. Mówienie o tym komuś, kto nie wierzy, to jest jak mówienie ślepemu o kolorach. Dla mnie jest to kontakt ze znaną mi osobą. Po prostu on mnie zna, a ja coś o nim wiem.

– Czy można powiedzieć, że Ojciec Pio i Karol Wojtyła mieli jakieś cechy wspólne?

– Myślę, że pomimo zasadniczych różnic można znaleźć między tymi gigantami ducha pewne podobieństwa: głębię wiary niedostępną dla zwykłego człowieka, głębię zawierzenia Matce Bożej – i to ze szczególnym odniesieniem do Tej zwanej Fatimską – obaj ujawniali kult właśnie do Niej. Pełne oddanie ludziom, chęć niesienia pomocy. Jan Paweł II mówił o sobie: „Servus servorum sum”. Z kolei Ojciec Pio jest wzorem wręcz heroicznego posłuszeństwa, a posłuszeństwo jest dziś cnotą zapomnianą.

– Jaki był stosunek Jana Pawła II do Ojca Pio?

Ojciec Święty Jan Paweł II od swego pierwszego spotkania z Ojcem Pio był nim w pewnym sensie zafascynowany i już wtedy był pewny, że spotkał człowieka świętego.

Dnia 5 kwietnia 2002 r. Jan Paweł II podyktował mi list do San Giovanni Rotondo, w którym napisał m.in.: „Ojciec Pio zapisał się głęboko w mojej pamięci – pamiętam ten dzień w 1948 r., gdy wieczorem kwietniowego dnia jako student Angelicum przyjechałem do San Giovanni Rotondo, żeby zobaczyć Ojca Pio i uczestniczyć w jego Mszy świętej i, jeśli to możliwe, żeby się u niego wyspowiadać. (...) To pierwsze spotkanie z żywym jeszcze stygmatykiem z San Giovanni Rotondo uważam za najważniejsze i za nie w szczególności sposób dziękuję Opatrzności”.

– Co czuje dziś, po latach, osoba cudownie uzdrowiona przez Ojca Pio?

– Nie można oderwać tego, co czuję dziś, po 46 latach, od tego, co czułam dotąd, bo nie są to przeżycia chwilowe. Zresztą nie chodzi w ogóle o odczuwanie, ale o sens życia. Ojciec Pio wszedł w historię mojego życia i jest w nim. Życie jest procesem, a to, co wpływa głęboko na sens życia, zostaje na zawsze i trwa w nim po prostu w każdej chwili.

– W tym roku przypada 40. rocznica śmierci Ojca Pio. Jego ciało wystawione będzie na widok publiczny. Czy wybiera się Pani do San Giovanni Rotondo? Warto zachęcać innych, aby tam pojechali?

– Nigdy nie wybieram się do San Giovanni Rotondo specjalnie, ale zawsze, kiedy jestem w Italii, staram się tam wpaść. Mam tam zresztą swoje przywileje – Ojciec Gwardian daje mi klucz do celi Ojca Pio i mogę tam spokojnie pobyc, w miejscu świętym. Bo miejsca nabierają świętości przez obecność świętych.

Oczywiście, warto jeździć do miejsc świętych – znacznie bardziej niż do zwykłych miejsc atrakcyjnych turystycznie. Miejsce, ziemia, nasiąka niejako promieniowaniem świętych. Każdy człowiek pragnie mieć swoje święte miejsce. Jan Paweł II powiedział do Polaków: „Każdy ma swoje Westerplatte”. Teraz Polacy mają swoje miejsce święte – grób Jana Pawła II, a także San Giovanni Rotondo.

Str. 4